

669
Michał Bałucki: „Dom otwarty”. Reżyseria: Ignacy Gogolewski, scenografia: Lech Zahorski, kostiumy: Michelle Zahorska, choreografia: Barbara Fijewska. Teatr Rozmaitości w Warszawie, premiera w styczniu 1987 roku.

W programie teatralnym – bardzo ciekawym i starannie przygotowanym – znajduje się m.in. list Elizy Orzeszkowej do Michała Bałuckiego, a w liście opinia o „Domu otwartym”: „(...) od tej komedii powiał na kraj wybuch szczerego, zdrowego śmiechu – który, jak potrzebny w ponurym życiu naszym, nikt nie wypowie”.

Szczerzy i zdrowy śmiech przydałby się i dziś, w naszym znowu ponurym życiu. Pewnie mieli to na względzie realizatorzy przedstawienia w Teatrze Rozmaitości, ofiarowując nam „Dom otwarty” na kawałek. Niestety, zamiast radością, ze sceny powiało smutkiem. Rozśmieszanie na siłę nie bawi.

Czasem wprawdzie Wicherkowskiemu (Jerzy Kramarczyk), który nieomal wychodzi ze skóry byle rozbawić publiczność, udawało się wywołać uśmiech. Pocieszny był też Fujarkiewicz (Edward Wichura), „skończony farmaceuta”, zwłaszcza w scenie, gdy upomina się o zamienione kalosze.

Szkoda, że ginie w tłoku, pośród nadmiaru reżyserkich pomysłów, Fikalski (Maciej Wolf), któremu brak tu wdzięku i lekkości, a przecież jeszcze kilka lat temu można było przekonać się, że to postać arcyza-

bawna, dająca aktorowi szansę stworzenia popisowej roli (brawurowo zagrana przez Jerzego Stuhra w krakowskim Starym Teatrze w montażu „Z biegiem lat, z biegiem dni...” w reżyserii Andrzeja Wajdy).

Zasadniczy zarzut dotyczy reżyserskiej koncepcji – trudno się bowiem zorientować, o czym traktuje ta komedia, wystawiona w Rozmaitościach.

Chwilami wydaje się, że o przewrotnej Pulcherii, mającej około 100 kilogramów wdzięków, zazdrosnego męża i milczącego kochanka. Wyrastają sylwetkę Pulcherii stworzyła Irena Kownas, czyniąc z tej damy o podejrzanym prowadzeniu się centralną figurę.

Finale skłania z kolei do przypuszczeń, że ów „Dom otwarty” jest w istocie gloryfikacją domu zamkniętego. To nic, że kiczowatego (scenografia podkreśla to, umieszczając w mieszczańskim domu nawet obrazek ostawionego jelenia na rykowisku), to nic, że nudnego, że ograniczonego do kręgu najbliższej rodziny. Wszystko, co poza domem, jest przecież podejrzane, a nawet groźne. Osoba nieznana wnosi niepokój. Żaden z przybywających gości nie wydaje się być człowiekiem, pojawiają się same karykatury ludzi. Stanowią kontrast z gospodarzami – zacnymi; pocziwymi, godnymi szacunku. Szlachetność aż bije z oblicza wuja, tak jak wszelkie zło i nieprawość wypisane są na obcych twarzach. Zastanawiające. Co nasze – to dobre, co cudze – to złe.

Inscenizatorzy – wiadomo – różnie interpretują literaturę, wydobywając z niej sensy ukryte i często zaskakujące. Parę lat temu Janusz Nyczak odczytał „Dom otwarty” Bałuckiego, wystawiając tę sztukę w

poznańskim Teatrze Nowym – przez pryzmat lektury, Witolda Gombrowicza. Powiać wiatr historii podczas balu w mieszczańskim domu, odywano się dalekie echo gombrowiczowskiej „Operetki”.

Ignacy Gogolewski natomiast zamienił „Dom otwarty” w wodewil. Pomysł niezbyt udany. Muzyka i śpiewy nie podnoszą tu atrakcyjności tekstu. Przeciwnie. Słowa z trudem docierają do widzów. Do reszty ginie sens.

BRONISŁAWA BELUSIAK

Zdjęcie: MACIEJ OSIECKI



TEATR